

54022

III

54022

Morawski

6.1911

265

20

PROKONSULAT STACKELBERGA

(Przyczynek z archiwum spraw zagranicznych w Moskwie).

Morawski H. M.

Polityka Panina, mająca za cel stworzenie z okrojonej Polski państwa drugorzędnego, któreby było niejako zachodnią marchią Rosyi (*puissance intermédiaire, Pufferstaat*), znalazła powolnego i gorliwego wykonawcę w osobie barona Ottona Magnusa Stackelberga, mianowanego posłem w Warszawie w jesieni 1772 r. Miał on ją przeprowadzać w nieustannym „Koncercie“ z przedstawicielami dwóch innych mocarstw rozbiorczych, a to z baronem Reviczky'm, posłem austriackim, i Gedeonem Benoit, ministrem pełnomocnym króla pruskiego. „*Monsieur de Revitsky paraît un homme minutieux et difficile d'un côté, et faible de l'autre*“ — charakteryzował Stackelberg zaraz na wstępie wspólnej działalności tego swego komparsa, a co się tyczy Benoit'a, to ta podrzędna figura była wiernem odbiciem zachłanności swego pana, kiedy mawiał do rosyjskiego kolegi, oburzającego się na postępowanie Stanisława Augusta: „*Laissez le faire, tant mieux pour nous, nous prendrons davantage.*“

Pierwszem zadaniem Stackelberga na gruncie warszawskim było stworzenie odpowiedniego stronnictwa, któreby mu dopomogło do sankcyonowania podziału przez Rzeczpospolitą i zaprowadzenia w niej nowej formy rządu. Polityka partyjna Rosyi w Polsce kilka już bowiem za Stanisława Augusta przeszła była fluktuacyj. Repnin opierał się bądź co bądź na Familii, Wołkoński użył adherentów saskich do utworzenia Rady Patryotycznej, Saldern zaciekle zwalczał Familię, Stackelberg zaś postanowił obecnie uciec się, śladem Wołkońskiego, do resztek partyi saskiej. Na jej czele pragnął znowu postawić bawiącego wciąż w Gdań-

K. 552/51



sku prymasa Gabryela Podolskiego, a obok niego marszałka N. K. Jerzego Wandalina Mniszcha, zatem ludzi małej wartości i miary, ale zdeklarowanych nieprzyjaciół królewskich. Dalej postanowił objąć amnestyą bawiącego chwilowo w Londynie zdolnego biskupa wileńskiego, Ignacego Massalskiego, i do tych kilku wybranych przyłączać stopniowo wszystkich tych, których chęć zysku lub względy nowego poddaństwa zagnają w objęcia Rosyi.

W stosunku do Familii Czartoryskich trzymał się baron Otto tradycyi i wskazań swego poprzednika, niemiłego sobie zresztą Salderna, t. j. tendencji jaknajbardziej wrogiej. Nie dziw więc, że bacznie śledził stosunek do nich Reviczky'ego, którego mógł posądzać o pewną w tym kierunku skłonność. Wiedeń, jak później za Sejmu Czteroletniego Berlin, był tą przystanią, do której chcieli raz po razu dobrzy patryoci kierować nawę Rzpltej, nazbyt skołataną uciskiem rosyjskim: myślał w początku swego panowania o związkach krwi z domem Habsburgów Stanisław August, nadzieje swe pokładała w opiece Maryi Teresy Konfederacya barska, grawitowali do Wiednia i Czartoryscy. „Najwięcej się obawiam — wyznawał tedy Stackelberg — aby (Reviczky) nie dał się olśnić pochlebstwom i innym wabikom ze strony Familii, która posiada tę sztukę w najwyższym stopniu. Jak mówią, są już ze sobą w układach o jakiś zaprząg koni.“ „Czartoryscy — konkludował wobec Panina zupełnie w stylu brutalnego Salderna — zaburzyli Polskę tak, jak niegdyś nepoci papieżcy zaburzyli byli Rzym i Włochy.“

Chodziło więc o to, aby na przełomowy moment sankcyi podziału i zmiany ustroju państwa usunąć słabego a wrażliwego króla z pod wpływu starych wujów, chodziło o stworzenie przeciwwagi, o wysunięcie nowych ludzi. Król czuł dobrze grozę zbliżających się wypadków. „Jego Królewska Mość — pisał poseł rosyjski — prowadzi tryb życia Kapucyna. Dwór swój ograniczył do osiemnastu lokai, a jada zawsze sam.“ W tem odosobnieniu działała nań z jednej strony klika Branickiego: faworyt, kochanka Sapieżyna, Szwajcar Glayre; z drugiej — stykał się z Familją, ale zdaje się dorywczo i bez harmonii. Nie wystarczało Stackelbergowi naprzemian ironizować i teroryzować swego pupila; dla przeprowadzenia swoich planów potrzebował nietylko uległości króla, ale i współdziałania stronnictwa.

Pierwsze miesiące pobytu jego w Warszawie wypełnione są tedy połowem stronników. Czy to popularny biskup kamieniecki Adam Krasiński dostanie się na granicy śląskiej w ręce rosyjskie i przywieziony zostanie jako więzień do Warszawy, czy to Wes-

sel i Wielopolski objawiają chęć powrotu do kraju i obiecują poprawę, czy nawinie się skory do usług pisarz Kazimierz Raczyński,—każdą sposobność w lot chwyta żądny popleczników dyplomata: Krasińskiego kaptuje łagodnym obejściem i apelem do jego politycznego doświadczenia, konfederatów amnestya, a Raczyńskiego nadzieją karyery. I podczas gdy tak, jak nowy Dyogenes, chodzi Stackelberg po Warszawie i szuka człowieka, zjawia się w stolicy nie jak człowiek żywy, ale raczej duch, widmo republikańskiej epoki, powracający z wygnania w Kałudze biskup krakowski Kajetan Sołtyk. Co żyło, wyległo na jego spotkanie. „Cycero nie narobił więcej hałasu w Rzymie, kiedy wracał ze swego wygnania (jak Sołtyk)—ironizuje zawsze pełen klasycznych reminiscencyj hyperboryjczyk—... a całym swoim postępowaniem dał dowody tej nabożnej chytrłości, któraby się pysznie nadawała do stulecia Aleksandra VI-go. Zniszczony ubiór, łysa głowa, skruszona mina, spuszczone oczy, nieustanne znaki krzyża i wszelkie wogóle duchowne małpiarstwa zostały przezeń użyte dla wywołania wrażenia.“

Mimo tej niepoehlebnej opinii o Sołtyku, zawahał się chwilę Stackelberg, czyby nie wygrać tego atuta przeciw królowi, czyby nie wesprzeć się na pastorałe męczennika, który w entuzjazmie wyzwolenia zwał go „aniołem pokoju, zesłanym z nieba,“ czyby nareszcie nie zagrać na jego bezbrzeżnej próżności. Ale wstrzymał się na czas, przewidział i wyczuł z drobnych objawów przyszły obłęd biskupa, wolał go się pozbyć z Warszawy i zastąpić kim innym. Miał już bowiem teraz do dyspozycji Massalskiego, miał zrujnowanego brata królewskiego, księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego, miał gadułę i wietrznika Gurowskiego, przysłanego z Petersburga z poleceniem Panina kuchmistrza Adama Ponińskiego, przekupnego kanclerza Młodziejowskiego i słabego podkanclerzego Borchy, biskupa Ostrowskiego i wojewodę Twardowskiego, Michała Radziwiłła i Marcina Lubomirskiego. Zawiódł wprawdzie Podoski, zbywszy zaproszenie królewskie na Radę Senatu kilkoma ironicznymi frazesami, ale zato w łonie Familii chwiał się bodaj Adam Czartoryski, ale w gabinecie królewskim spiskowali Boscamp i Glayre.

Teren sejnowy przygotowany był zatem świetnie, a oto i sejm przyszedł do skutku. „Otwarł się pod węzłem konfederacji — tryumfował poseł — ten sejm, który wydaje się problemem dla pyrronizmu i dla fanatyków, którzy mu chcieli przeszkodzić... Całe trzy dni walczone z płucami jednego Sarmaty... (który) napełnił zamek swoim *nie pozwalam*, trwającym trzy doby.“ Stłu-

miwszy opór Rejtana, zabrał się Stackelberg do jednania sobie uleglejszych posłów, traktując ich u siebie, co dało mu powód do skargi u Panina, że „każdy z nich połyka butelkę węgryzna, jak my szklankę wody.“

Opozycja została stłumiona. Czartoryscy przycichli zupełnie, miotał się tylko Branicki na czele kilkudziesięciu posłów w obronie przywilejów władzy hetmańskiej i rozdawnictwa urzędów przez króla, groził przeciwnikom defenestracją i jeździł na próżno do Petersburga. Nie oparł się wszelako Radzie Nieustającej, której ojca duchowego upatrywał Stackelberg w samym księdzu Konarskim i mimo pewnych ustępstw ze strony posła rosyjskiego i obfitego łupu białocerkiewskiego, wyszedł pobity z kampanii delegacyjnej.

We wrześniu 1774 r. stanął za sprawą Stackelberga formalny pakt między królem a partją rosyjską, którym poręczano sobie obustronne świadczenia i korzyści materyalne. Stackelberg miał poczucie, że teraz jest jeden pasterz i jedna owczarnia, a na pasterza swojej trzody, t. j. na pierwszego marszałka Rady Nieustającej, upatrzył najoddańszego ze swych stronników, niewątpliwie zdolnego, ale próżnego i przedajnego, jak mało kto, Augusta Sułkowskiego.

W dziedzinie polityki zagranicznej zwracał ambasador baczna uwagę na dawną opiekunkę swobód polskich, na Francję. Wprawdzie po upadku Choiseul'a, za rządów wyniesionego przez panią du Barry księcia d'Aiguillon, opuściła ona Konfederację barską i obojętnie przyjęła rozbiór, wprawdzie odprawiła z kwitkiem poselstwo Branickiego, wołającego o pomoc dla ginącej Polski, ale przecież w składzie ministerjum paryskiego znalazł się człowiek, który nie wyrzekł się tradycyi Richelieu'ego, który bolał nad zanikiem francuskiego wpływu na Wschodzie i przeczuł we wzmagających się Prusach groźnego dla monarchii Ludwików współzawodnika. Był to Vergennes. Z jednej więc strony przez dawnego przyjaciela Polski, Franciszka Duranda de Distroff, starał się przy pomocy Potiemkina podważyć lub zrównoważyć w Petersburgu politykę Panina, idącego na rękę Prusom, z drugiej—usiłował bezpośrednio na gruncie warszawskim zetknąć się z czynnikami przychylnymi Francji, a niechętnymi Prusom. I tak na wiosnę r. 1774 zjawił się nad Wisłą hrabia d'Adhémar, jeden z faworytów Maryi Antoniny, w jesieni tegoż roku bawił tu *incognito* po raz pierwszy książę de Lauzun, przybyły coprawda raczej dla spraw sercowych, niż dla politycznych. Ale rozejrzawszy się przy sposobności w stosunkach warszawskich, zachęcony może przez Adama Czar-

toryskiego, jął marzyć o dyplomatycznych laurach, o koronie polskiej dla Izabeli Czartoryskiej, ba! może o rycerskiej służbie u Semiramidy Północy. Należąc do koteryi Choiseul'a, oddał się na usługi Vergennes'owi i z zapalem prozelity ruszył najpierw do Berlina, aby zrekonoskować tameczną sytuację polityczną, przez co ściągnął na siebie podejrzenia starego Fryca, poczem w lutym 1775 r. stawił się ponownie w Warszawie, tym razem, aby przekonywać Stackelberga o potrzebie koalicji austro-frankorosyjskiej przeciw Prusom. Ambasador nie odepchnął burzliwego emisariusza, jak się tego można było spodziewać po wykonawcy taktyki Panina, ale owszem, za poręką Czartoryskiego, wszedł z nim w konszachty, a gdy Lauzun opuścił Polskę, utrzymywał korespondencję. Tu już w grę wchodziły osobiste sprawy Stackelberga. Wisiała nad nim, jak miecz Damoklesa, groźba powrotu Repnina do Warszawy: siostrzan Panina rwał się napowrót do miasta, w którym prokonsularną niegdyś sprawował był władzę, rwał się do władczyni swego serca i nie tracił nadziei, że osiadzie znowu na stałe w stolicy Polski. Wobec tak niebezpiecznej konkurencji przyszło Stackelbergowi rozglądać się za inną ambasadą: jak był przyszedł z zachodniego posterunku, z Madrytu, na wschodni, do Warszawy, tak teraz na Zachód znów pragnął się przenieść, do Paryża. Z tego względu nie chciał sobie zrażać Francuzów, Vergennes'a czy Lauzun'a, dlatego odbierał poufne listy od świetnego *duc'a*, będące komunią dwóch serc rozkochanych w Polkach, dlatego patrzył przez palce na misję paryską pułkownika Rillecourt'a, który nad Sekwaną przedstawiał opozycję polską.

Ta „ekstratura“ (mówiąc dzisiejszym dyplomatycznym żargonem) francusko-rosyjska trwała wszakże niedługo, a skończyła się zapewne na burze, danej przez carową Adamowi Czartoryskiemu za jego pobytu w Moskwie za to, że sprowadzał Francuza do Polski. Epilogiem zaś jej, zgoła już nie po myśli Rosyi, była o rok późniejsza kandydatura hrabiego d'Artois do tronu polskiego, którą przedłożył Stanisławowi Augustowi trzeci już z rządu francuski wysłannik, ofiarując mu w razie zrzeczenia się przezeń korony obietnicę, że zostanie Stanisławem II na książęcym stolcu lotaryńskim. Z tego samego jeszcze wątku wysnuć się musiała w r. 1777 niefortunna swadźba marszałkowej Lubomirskiej, która wpadła na pomysł ożenienia niemłodego już kuzyna z księżniczką de Bourbon.

Pomijam tu stosunek Stackelberga do opozycji sejmowej, który miałem już sposobność omówić szerzej na innem miejscu

i przechodzę do sytuacji wewnętrznej kraju po zamknięciu sejmu rozbiorowego i utrwaleniu Rady Nieustającej. O ile chodziło o układ stronnictw, to mamy teraz naprzeciw siebie, podobnie jak za czasów Augusta III, dwie tylko partie, ale rosyjska jest teraz antagonistką Familii, a Familia wyemancypowała się z kurateli rosyjskiej i stała się t. zw. partią galicyjską. I tak będzie przez lat całych dziesięć; partya francuska przestała już istnieć, skoro nawet taki zelant burboński, jak Mokronowski, pogodził się z nowym porządkiem rzeczy i marszałkował na sejmie 1776 r. w zgodzie ze Stackelbergiem. Teraz więc oczy barona Ottona Magnusa zwrócone są stale na zakusy Wiednia, tembardziej, że lada chwila wybuchnąć może wojna między Rosją a Austrią o sprawę wschodnią. Trzeba bacznie śledzić ruchy Galicyan, ich knowania z magnatami litewskimi, ich werbunki na rzecz Austrii, trzeba werbować ze swojej strony nowych partyzantów i próbować, czy bodaj z eks-barzan nie dałby się utworzyć oddział lekkiej jazdy, jako posiłkowy dla wojsk Katarzyny.

I znowu, za rozwianiem się chmury wojennej, wpadły te zabiegi w wodę, pozostały połowicznymi, jak tyle innych działań tej przejściowej epoki. Wprawdzie partya galicyjska nie dała za wygraną, i owszem, bardziej podniosła głowę za przybyciem nowego posła austriackiego, barona Thugut'a, który zastąpił kunktatora Reviczky'ego. Wprawdzie skarżył się Stackelberg na konwentykle Thugut'a z adherentami Austrii: marszałkiem Lubomirskim, Ponińskim, Sewerynem Rzewuskim, Ignacym Potockim, wprawdzie czyniono z tej strony królowi wstręty za to, że sprzyja Rosji¹⁾, ale na tem się też skończyło: Austria nie chciała czy nie mogła pełnić spraw polskich na inne tory.

Błąd jest więc ten okres Stackelberga, jak to już zauważył ksiądz Kalinka, a nad latami, bezpośrednio poprzedzającymi Sejm Czteroletni, dominują niepodzielnie dwie awantury: przypadek szaleńca i przypadek szalbierki.

Wobec żywszego obecnie zajęcia się osobą biskupa Sołtyka, wobec nawet pewnej polemiki, która się o niego toczy, nie będzie pozbawionem interesu przytoczyć sąd wpływowego ambasa-

¹⁾ Kiedy król wracał w r. 1781 z Wiśniowca (gdzie się był spotkał z W. Księstwem Pawłami), Warszawa urządziła na jego cześć iluminację. Tylko pałace Lubomirskich i Czartoryskich nie zostały oświetlone, a ich właściciele zapytywali się z ironią: *A t-il gagné une bataille à Wiśniowiec? a-t-il négoié la restitution de la Russie blanche?*

dora, sformułowany pod wrażeniem pierwszej wiadomości o fakcie jego uwięzienia.

„Muszę dziś donieść Waszej Ekscelencyi—pisze Stackelberg do wicekanclerza Ostermana 27 lutego 1782 r.—o wypadku, który, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się małoważnym, niemniej jednak porusza i zaburza stronniczego i niespokojnego ducha, jaki długo jeszcze cechować będzie naród polski. Oto znów ten słynny fanatyk, biskup krakowski, wystąpił z głębi zapomnienia na widownię, aby stać się bohaterem katastrofy, która ma jak największe prawo do karty w rocznikach szaleństw polskich.

„Sądzę, że chcąc przedstawić w świetle właściwem nową przygodę tego dostojnika, któryby się nadawał, jak nikt drugi, na pierwszego ministra Aleksandra VI, gdyby był przyszedł na świat w jego stuleciu, trzeba się cofnąć myślą do chwili jego powrotu z Kaługi, do roli męczennika i świętego, którą tu odgrywał przed otwarciem Sejmu podziałowego i do wybryków, które w dobie tak trudnego przesilenia uwolniły mnie tak pomysłnie od obecności tego warchoła. Wstyd, że go ogłoszono we wszystkich gazetach za niepoczytalnego, skłonił go wówczas do odosobnionego trybu życia i to bezpośrednio po owej kanonizacji w sercach świętoszków i dewotek warszawskich. Żył tedy przez lat dziewięć w Krakowie samotnie i nie opuszczając pokoju, zajęty zbieraniem olbrzymich dochodów swego biskupstwa i okazując chęć zakończenia żywota wśród praktyk pobożnych i ciszy. Aż tu nagle ten zaciszny tryb życia ustąpił miejsca bezgranicznemu zbytkowi, procesyom, publicznym aktom pobożności, przepłatanym ucztami wśród huk armat i rozdawnictwem pieniędzy między lud, gotów zbuntować się na jego korzyść. Kapituła krakowska, widząc, że po tych wybrykach następują wyraźne szaleństwa, wysłała do biskupa w największej tajemnicy dwóch kanoników, z prośbą aby raczył spać, aby zaprzestał odprawiać mszy o czwartej po obiedzie i aby dbał o swoje zdrowie. Ten krok kapituły do reszty przewrócił w głowie biskupowi. Popisał więc do króla i do papieża jak najdziwaczniejsze listy, prosząc drugiego z nich o przysłanie mu kardynała Albaniego, jako legata dla sądzenia kapituły, ofiarując 20,000 dukatów na pokrycie kosztów jego podróży i dodał do swego listu drukowane *factum*, gdzie między innemi opowiada, że kazał utopić ze wskazanemi formalnościami psa, który, ku wielkiemu zgorszeniu wiernych, używany był jako ministrant przez jednego z kanoników, jego wrogów. Nie poprzestając na tych szaleństwach, zabrał się do święcenia księży w czasie zapustnym, chociaż okoliczności tego

nie wymagały, przy czem cały obrzęd zasadał się na odczytywaniu jego korespondencji, następnie sprowadził rzeczy i powóz do klasztoru, w którym się odbywała wspomniana ceremonia, i oświadczył, że, oburzony na postępowanie swoich kanoników, postanowił wyjechać. Wtedy nakoniec kapituła, chcąc uniknąć nowego zgorszenia z osoby swego biskupa, uznała za nieodzowne uwięzić go i donieść o tem Radzie za pośrednictwem koadjutora biskupstwa, a brata królewskiego.“

Zniechęcona brakiem poparcia ze strony Austrii w swych wicherzeniach opozycyjnych na rzecz Sołtyka, zniechęcona odwołaniem Thugut'a i zbliżeniem się austro-rosyjskiem, zwróciła się partya galicyjska, a przynajmniej znaczna część jej przywódców, w stronę Berlina, skąd Fryderyk, zaniepokojony sojuszem swoich sąsiadów, chętną wyciągał do niej rękę. Przez lat cztery przed Sejmem Czteroletnim trwa już akcja pruska w Warszawie, rozpoczęta małżeństwem księżniczki Czartoryskiej z księciem Ludwikiem Wirtemberskim, spokrewnionym z Hohenzollernami, które zaniepokoiło Petersburg. Znać odtąd kontakt między opozycją a Prusami choćby wjazdach jej do Berlina, na wzór wypraw petersbursko-moskiewskich z lat 1774—1776 i późniejszych wiedeńskich. Rezydent pruski, Buchholtz, ma postępować śladami Stackelberga i dla wygodniejszego stosowania jego metody ugaszczania szlachty, odbudować pałac ambasady pruskiej w Warszawie. Podobnie, jak Stackelberg, na początku swojej działalności ma mnożyć zastęp prusofilów zręcznym połowem stronników. Podobnie, jak swego czasu Austria, ma się starać o konneksye i na Litwie wśród Radziwiłłów i Ogińskich, którzy w razie konflagracji europejskiej niepoślednie mogą Prusom oddać usługi i w Wielkopolsce, gdzie mu tem łatwiej będzie materyalnemi koncesyami, jak odszkodowania za potracone w kordonie pruskim starostwa, jednać sobie powolne narzędzia. Przychodzą mu w pomoc emisaryusze i odezwy z Berlina, łudzące Polaków mirażem ligi antyrosyjskiej w Europie i obietnicą odzyskania Galicyi, aż wreszcie przyjdzie zręczniejszy odeń markiz, Luchesini, stroić na swą nutę rozstrojone organy Rzeczypospolitej.

Były to wszystko objawy niespodziewane dla Stackelberga a zastraszające. Po tyloletnich, nieustannych niemal sukcesach, po szczęśliwym bankructwie konkurencyi austriackiej i odparowaniu rywalizacyj petersburskich, stawał teraz wobec groźniejszego przesilenia, którego mu nie było danem przetrzymać. Atmosfera była naładowana elektrycznością, nerwy patryotów tak napięte, że wrażliwsi z pomiędzy nich i młodszy, jak np. Jan Po-

54022

tockci, dochodzili bez mała do obłądu. Przeczuwano utajone niebezpieczeństwa i szukano dogodniejszych oryentacyj. Stackelberg rachował „*die Häupter seiner Lieben*“ i do smutnych dochodził rezultatów. Sądził, że może polegać na królu, na bracie jego, prymasie, Szczęsnym Potockim, biskupie krakowskim Turskim, marszałkach Mniszchu i Raczyńskim, kanclerzu Małachowskim, wreszcie na stadzie parszywych owiec, płatnych zwolenników Rosyi, zużytych i zdyskredytowanych, jak Gurowski i Poniński. Czuł nazbyt dobrze, jak jednak wiele się zmieniło za jego prokonsulatu w usposobieniu i wartości moralnej narodu, a najlepszym wykładnikiem takiego poczucia było stanowcze oświadczenie pod adresem Ostermana w sprawie desygnacji przyszłego marszałka sejmowego, że Poniński na nic by się teraz nie przydał, że potrzeba na to stanowisko męża, jak Stanisław Małachowski. Od Ponińskiego do Małachowskiego, od Katyliny do Arystydesa polskiego, tak da się wymierzyć przestrzeń, którą społeczeństwo polskie przebyło w przeciągu lat piętnastu.

Na tem zakończyć można te zbyt może pobieżne uwagi o roli Stackelberga w Polsce. Jeśli jeden z naszych historyków porównał świeżo późniejszą dyktaturę Igelströma z rządami Paskiewicza lub Berga, to okres rządów barona Ottona Magnusa dałby się odpowiednio przyrównać do owych okresów nie tyle pojedynia, co ulgi, które bywały i w dziewiętnastym wieku w dziedzinie stosunków polsko-rosyjskich. Nie moją rzeczą tu rozstrzygać, o ile one wogóle wyszły na dobre krajowi; to pewna, że za Stackelberga mogła kwitnąć praca organiczna, będąca zasiewem pod czteroletnie żniwo i na ciężki późniejszy przednówek.

K. M. MORAWSKI.

